Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. Kraków, dnia 19. Grudnia 1909 r. Nr. 51.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli“ w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Wśród zamętu.

W chwili, gdy piszemy te słowa, los parlamentu rozstrzyga się — po raz niewiadomo który, bo od jesieni codziennie zapada niby jakieś rozstrzygnięcie, a na drugi dzień już nie wiadomo, co będzie dalej? Tym razem z jednej strony Unia słowiańska domaga się przyjęcia do gabinetu Słowian obok Niemców i grozi obstrukcyą, z drugiej strony agraryusze czescy i niemieccy agitują przeciw traktatom handlowym z państwami bałkańskiemi i z Rumunią. Na Rumunię prędzej by się może zgodzili, lecz na dopuszczenie bydła z krajów bałkańskich absolutnie przystać nie chcą. W tej chwili sprawa stoi na ostrzu noża, gdyż bar. Bienerth oświadczył, że gdyby Izba nie uchwaliła traktatów, będzie rozwiązana.

Polacy konsekwentnie dążą dalej do uruchomienia parlamentu, ale rola ich staje się coraz trudniejszą, zwłaszcza, że rząd zaczyna im dziwne płatać figle. Oto, gdy już zdawało się, że obstrukcya czeska będzie załagodzona, zaczęli obstrukcyę Rusini. a za zaprzestanie jej żądają trzeciej części subwencyi na cele rolnicze, wypłacanych przez rząd organizacyom rolniczym w Galicyi. Jakto? Czyżby Rusini nie dostawali nic z tych pieniędzy? Bynajmniej, Dostają. Ale oni chcą otrzymać tę kwotę w swoje ręce, dla tego, aby zaznaczyć, iż interesy rolnika ruskiego, są zupełnie odrębne od interesów rolnika polskiego. Chcą zaznaczyć i na tem polu rozłam między ludźmi, zamieszkującymi razem ten kraj. Idzie więc im o politykę, nie o rolnictwo.

Jak słychać, rząd podobno ma się przychylać do tego żądania. W ten sposób otrzymaliby Polacy ładne wynagrodzenie za to, że starali się o przyjście do skutku porozumienia niemiecko-czeskiego! Całe to pośrednictwo Koła było potrzebne dla tego, iż Niemcy oświadczyli, że „obstrukcyi nie wolno okupywać się żadnemi ustępstwami“. Bardzo pięknie,

ale czy obstrukcyę ruską wolno przekupywać, skoro czeskiej nie wolno?

Sprawa jest więc bardzo ważna z wielu względów. Teraz dopiero okazuje się, jak rozumnym i potrzebnym jest pomysł wprowadzenia przymusowej organizacyi wszystkich rolników, znów postawiony niedawno przez krakowskie Tow. rolnicze. Gdyby wszyscy rolnicy musieli należeć do stowarzyszeń zorganizowanych przymusowo, to nie mogliby Rusini domagać się części subwencyi na rolnictwo dla swoich prywatnych organizacyj. Widzimy, jak krótkowidzącą, jak nierozumną jest polityka tych, którzy tak jak wszechpolacy odżegnują się przymusowych stowarzyszeń rolniczych, nie widząc, że brak ich grozi nietylko szkodą dla rolników wogóle, ale szkodami politycznemi dla kraju.

Może teraz przejrzą i namyślą się. Niema nic smutniejszego, jak bezmyślność, niema nic groźniejszego jak ta bezmyślność w sprawach najważniejszych dla kraju i narodu. Polityka wszechpolska nietylko trąci demagogią nieszczególnego gatunku, ale w dodatku odznacza się, jak widać na tym przykładzie, najzupełniejszem niezrozumieniem interesów nietylko rolniczych, ale ogólno-krajowych, które w tym wypadku łączą się i pokrywają najściślej z interesami rolników.

W sprawie dzielenia gruntów.

W *Przewodniku Kółek rolniczych* zabierali już różni ludzie głos w tej ważnej kwestyi, nie zabrał jeszcze sędzia. A przecież przed oczyma sędziego, czy to spadkowego, czy hipotecznego, czy opiekuńczego, przesuwa się tyle podziałów gruntów włościańskich.

Włościanie nasi są bardzo skłonni i chętni do dzielenia swej własności, czy ona obszerna lub drobna, czy ma wielką albo małą wartość.

Każdy prawie gospodarz za życia we formie darowizny, lub na wypadek śmierci w rozporządzeniu swej ostatniej woli, korzystając z przysługujących mu praw, dzieli swą posiadłość między małżonkę i dzieci lub swoich blizkich krewnych, by każdemu zrobić po sobie „pamiątkę“.

Widzi na wsi te parę lub kilkanaście zagonów, stanowiących drobny obszar gruntu, na którym sam w pocie czoła pracował i z biedą mógł wyżyć, mimo to nie oddaje go jednemu, lecz znowu dzieli na drobniejsze cząstki.

Jego część stanowiła na mapie hipotecznej małą parcelę, to też części z podziału powstałych trudno nieraz na mapie katastralnej lub hipotecznej dojrzeć gołem okiem.

Pomiędzy tymi, których obdzielił drobnymi kawałeczkami gruntu, powstają ustawiczne spory o granice, o naruszenie posiadania, szkody polne, obrazy honoru, bitki, kończące się zasądzeniem w drodze karnej i t. p.

Gdy poprzedni posiadacz był właścicielem całej realności, całego wykazu hipotecznego (arkusza), to sprawa jeszcze jako tako da się uregulować. Jeśli obdarował swych krewnych całemi parcelami, podział jest łatwy, nie trzeba geometry, nie potrzeba mapki podziałowej. Ale gdy poobdzielał drugich częściami parcel, wtedy celem zaintabulowania każdego z obdarowanych lub spadkobierców w księdze gruntowej za właściciela osobnego ciała hipotecznego, trzeba już sprowadzić na grunt geometrę, lub sędziego i geometrę, którzy zgodnie z wolą poprzedniego właściciela podział przeprowadzą i pale graniczne pozabijają. Wtedy też geometra sporządzi mapkę podziału parcel, a sędzia spisze akt działu i zaintabuluje każdego za właściciela wyłącznego należącej się mu części tego gruntu, który dawniej do jednego należał właściciela.

Daleko gorzej jest, gdy ktoś jest w hipotece zapisany za właściciela niecałej realności, tylko jej części n. p. 1/8, 1/25 części i posiada za tę część we wsi kilka lub kilkanaście zagonów, a te znów rozdziela między dzieci lub krewnych.

Aby mógł sąd zaintabulować każdego z obdarowanych za właściciela tego kawałeczka gruntu, który mu oddał poprzedni właściciel ze swych zagonów, trzeba zgody także innych współwłaścicieli hipotecznych tej realności, której 1/8 lub 1/25 część miał darodawca lub spadkodawca, a o tę zgodę, o to zezwolenie nieraz bardzo trudno. Jedni współwłaściciele bowiem są małoletni, drudzy nieobecni w kraju, bo przebywają w Ameryce, inni znów z miejsca pobytu i życia są nieznani. Wreszcie choć są współwłaściciele w gminie, to nie chcą przystąpić do spisania działu zdolnego do intabulacyi, utrzymując, że oni za mało posiadają gruntu, jak wedle hipoteki na nich wypada, albo że mają obszar gruntu taki, jak drudzy, ale za to grunt gorszy i t. p.

Trzeba tedy o podział wspólnej własności prowadzić kosztowny proces, który nieraz więcej kosztuje, niż wart grunt darowany, lub zapisany w testamencie.

Czyż nie lepiejby był zrobił poprzedni właściciel, gdyby jednemu dziecku był całą swą część oddał, a reszcie dzieci przeznaczył spłaty?

C. k. Ministerstwo Sprawiedliwości w reskrypcie z 13 grudnia 1900 L. 24357/00, wychodząc z założenia, że dzielenie zbyt drobnych gospodarstw włościańskich jest szkodliwe, zaleciło Sądom, aby w drobniejszych spadkowych sprawach usilnie zalecały stronom zawieranie układów spadkowych tej treści, by unikali dalszego dzielenia drobnych posiadłości, wskutek którego na częściach z podziału powstałych porządna gospodarka byłaby niemożliwa, a godzili się na objęcie całego spadku przez wdowca, wdowę, lub jednego ze spadkobierców, pod warunkiem zobowiązania się tegoż wypłacenia reszcie spadkobierców spłat sprawiedliwych.

Spłaty takie oznacza sąd po oszacowaniu spadku przez taksatorów i po wysłuchaniu opieki i blizkich krewnych, naturalnie za zgodą opieki lub pełnoletnich spadkobierców.

W wielu wypadkach, gdy rolnik umarł bez rozporządzenia ostatniej woli, a grunt jego drobny miał rozpaść się między kilkoro dzieci, albo gdy małe zostawił gospodarstwo, a mimo to rozdzielił je na jeszcze mniejsze części, uda się sędziemu skłonić spadkobierców do zawarcia zgody w ten sposób, że jeden z nich obejmuje całe gospodarstwo z długami i ciężarami, a innym zabezpiecza na gruncie sprawiedliwe spłaty, na których zaspokojenie dorabia się pieniędzy pracą w kraju lub zagranicą, albo spłaca je posagiem żony. Ale również często

nakłaniania sądu do zawarcia takiego układu spotykają się ze stanowczą odmową interesowanych.

Raz spotkałem się n. p. z taką odpowiedzią: „Najlepsze jest, jak kto ma kawałeczek gruntu, bo może gospodarzyć, z drugiej strony weźmie za żoną drugie tyle, budzinę stulą i siedzą, a gdy jeszcze weźmie w dzierżawę ze dwa morgi, to już gospodarz doskonały".

Nie jestem za tem, by koniecznie w każdym wypadku pozostawiania w spadku drobnego kawałka gruntu skłaniać strony, aby jeden spadkobierca brał cały grunt, a innych spłacał, boć grunt gruntowi nie równy, czasem kawałek mały lepszy i więcej wart, niż inny duży, a kiepskiej gleby.

Ale sędzia powinien usilnie skłaniać do takich układów, gdy grunt jest tak szczupły, że podział prawie niemożliwy i połączony ze znacznymi kosztami niestosunkowymi do wartości gruntu, dalej gdy części z podziału powstałe znacznieby na wartości straciły, wreszcie, gdy do spadku należą budynki, nie dające się podzielić.

Dalej, powinni się spadkobiercy godzić na objęcie spadku:

1) gdy grunt spadkowy ma dość znaczny obszar, lecz przedstawia bardzo małą wartość,

2) gdy spadek obdłużony znacznie, a ten, co go chce objąć, ma pieniądze na spłacenie długów,

3) gdy spadkodawca nie był właścicielem hipotecznym całej posiadłości, lecz jej części, n. p. 1/3, 1/14 części i t. p., a mimoto spadkobierców podzielił osobnymi kawałkami gruntu, który posiadał.

Niejednokrotnie zmarły w swojem rozporządzeniu ostatniej woli zapisuje cały swój majątek zostającemu przy życiu małżonkowi, a choć ma dzieci, nic im ze spadku nie przeznacza, w tej myśli, że gdy obdarowany będzie umierał, to i tak spadek pozostawi wspólnym dzieciom.

W tym wypadku powinien sędzia w układzie spadkowym zgodnie z wolą zmarłego zapewnić cały spadek pozostałemu przy życiu małżonkowi, a we formie spłat zabezpieczyć części obowiązkowe dzieciom spadkodawcy.

Daleko jednak korzystniejby było, aby sam ojciec lub matka rodziny oddawali swoją drobną własność jednemu z dzieci, a drugim przeznaczali spłaty, boć oni przecież dobrze znają wartość swego gruntu i znając swe dzieci lepiej, mogą wnioskować, które z nich będzie lepszym gospodarzem, które lepiej szanować będzie zagon rodzinny, niż sąd lub opiekun. Ci bowiem nie znają tak dobrze jak rodzice zalet, wad, usposobień i charakterów czyichś dzieci; czasem zupełnie ich nie znają i mogą zły wybór zrobić, a nie znając dokładnie wartości gruntu, mogą niesprawiedliwie ustanowić spłaty.

To też im więcej we wsi oświeconych ludzi, a w szczególności im rozumniejsi są pisarze rozporządzeń ostatniej woli po wsiach, tem częściej spotyka się z przyjemnością rozporządzenia ostatniej woli, gdzie drobne posiadłości gruntowe oddaje umierający jednemu dziecku, a reszcie przeznacza sprawiedliwe spłaty, albo jeśli dzieli między dzieci grunt, to czyni to, gdy jest hipotecznym właścicielem całej realności, całego wykazu hipotecznego, a wtedy rozdziela między dzieci o ile możności całe parcele, aby nie potrzeba sprowadzać na grunt geometry, co nieraz bardzo dużo kosztuje.

Korzystny ten objaw jest wynikiem postępu oświaty wskutek zakładania coraz nowych szkół i pracy oświatowej Towarzystw Szkoły i Oświaty ludowej, oraz Kółek rolniczych. Jest on dalej wynikiem czytania przez ludność pożytecznych czasopism i gazetek, artykułów i broszur popularnych prawniczych i jest rezultatem pracy ludzi dobrej woli, którzy we włościanie naszym, choćby na kilku zagonach widzą młodszego brata, syna tej samej nieszczęśliwej Ojczyzny, któremu trzeba podać pomocną rękę, którego trzeba oświecić i podnieść ekonomicznie.

Dlategoż wszyscy będący tej myśli, nie ustawajmy w pracy. W piśmie i w słowie, gdzie potrzeba pouczajmy o szkodliwości dzielenia zbyt drobnych posiadłości włościańskich, aby sam nasz polski lud, który zakosztował wolności, unikał tego, co dla niego szkodliwe, bez zmuszania go do tego jakiemiś ustawami wyjątkowemi. *Dr. Matakiewicz* Naczelnik sądu.

Co słychać w Polsce?

„Nie wolno mnie drażnić."

W Prusach jest konstytucya, która powiada, że każdy obywatel jest wobec prawa równy, i skoro płaci podatki i synów oddaje do wojska, natenczas też ma równe prawa z drugimi. Polacy jednak mogą śmiało twierdzić, że z pruskiej konstytucyi na swej polskiej skórze mało co czują. Dla nich niema równych praw, ponieważ urodzili się Polakami i Polakami pozostać pragną. To się nazywa u Prusaków „grzechem pierworodnym". Dla tego, że są Polakami, i że narodowość swoją kochają, dopatrują się w nich nieprzyjaciół państwa pruskiego, którzy jeno czyhają na to, ażeby się od państwa pruskiego oderwać. Nie wierzą im chociaż wszystkiego unikają, coby mogło podejrzenia te utwierdzać. Karzą za miłość do narodowości, do mowy ojczystej, karzą za naukę dziatwy, karzą za to, że chcą, ażeby ta dziatwa po polsku się modliła i po polsku do Sakramentów świętych była przygotowywaną.

Konstytucya poręcza swobodną obronę narodowości nietylko w domu, w szkole itd., ale także w życiu publicznem. Pozwala na wybieranie własnych posłów do Sejmu i parlamentu, pozwala urządzać wiece i tworzyć polskie towarzystwa przemysłowe, ludowe śpiewackie, religijne itd., wszystko to konstytucya pozwala — na papierze, a w rzeczywistości to tłumi z pomocą żandarma, policyanta, wójta, sołtysa, bo odmawiają Polakom sal na wiece i zebrania, skasowali urządzanie publicznych wieców w okręgach, gdzie niema urzędowo 60 procent polskiej ludności, do banków ludowych nie pozwalają przystępować urzędnikom, chociaż te banki polityką się nie zajmują, jednem słowem traktują Polaków gorzej jak trutni, żyjących z cudzej łaski.

Pokazało się to ostatnio przy wyborach radnych miejskich w Katowicach.

Miasto to leży na Górnym Śląsku na pograniczu Królestwa Polskiego. Pomimo, że liczy na 100 mieszkańców, 85 katolików, prawie samych Polaków, to rządzą w niem żydzi, Niemcy. Burmistrzami jest dwóch lutrów, a reszta zarządu miejskiego to

też sami prawie lutrzy. Jakże też może być inaczej, skoro na 42 zastępców gminy jest zaledwie 8 katolików, na dobitkę niema pomiędzy nimi ani jednego Polaka. Lutrom i żydom było naturalnie przy takim stanie rzeczy bardzo dobrze, ale katolicy upatrywali w tem dla siebie hańbę i gdy się przy ostatnich wyborach wydarzyła ku temu pomyślna okazya, postanowili pokazać swoją siłę. Połączyli się tedy Niemcy katolicy z Polakami, ażeby wspólnemi siłami zwyciężyć, bo na własną rękę jedni i drudzy nie byliby niczego dokazali. Niemcom - katolikom przyznano 3 kandydatów, Polakom zaś 2. W obozie hakaty zawrzało jak w ulu. Zrozumieli niebezpieczeństwo, ale byli za słabi na to, ażeby połączonych centrowców i Polaków zwalczyć. Ale od czego rząd?

Zgłosili się hakatyści do prezesa regencyjnego w Opolu i nagadali mu, że urzędnicy, którzy głosują na polsko-centrowych kandydatów, to zdrajcy, którzy nie warci, że jedzą chleb rządowy. Niegodni być urzędnikami, gdyby się poważyli na spółkę polsko - centrową głosować. Trzeba im zawczasu energicznie pogrozić. Niedosyć na tem. Znalazło się kilku, którzy podszepnęli ks. Donnersmarkowi, ażeby przecie cesarzowi, który o tym czasie gościł u niego, coś podszepnął i dopomógł prezesowi regencyjnemu. Cesarz Wilhelm kazał też sprowadzić sobie zaraz prezesa regencyjnego, a nawet komisarza kryminalnego Mädlera, który szpieguje specyalnie Polaków, i wypytywał o stosunki na Górnym Śląsku. Co mu tam obaj nagadali, niewiedzieć, ale widać, że się Polakom i urzędnikom w Katowicach porządnie dostało, skoro cesarz podarował w końcu prezesowi regencyjnemu obraz z napisem łacińskim: „Nemo me impune lacessit“, to znaczy po polsku „nikt bezkarnie mnie nie drażni“.

W tych słowach mieści się wielkie niezadowolenie cesarza, jeno nie wiedzieć, z czego cesarz Wilhelm więcej jest niezadowolony; czy z urzędników katowickich, którzy na kandydatów polsko-centrowych głosowali, czy też z ludności polskiej. Pewnie z jednych i z drugich. Tak oto hakatyści zrobili z wyborów w Katowicach wielką polityczną sprawę i za to, że Polacy i katolicy niemieccy pragnęli spełnić swój obowiązek obywatelski i głosować według swego sumienia, na co im pozwala konstytucya, postanowili ich ukarać i dopięli swego. Nauczycieli i urzędników Niemców poprzenoszono z miasta na prowincyę, za to, że głosowali według sumienia, to jest konstytucya pruska!! Kto wykonuje swe prawa obywatelskie, ten drażni Prusy.

Wojna Rosyi z Japonią.

Japonia się istotnie zbroi, powołuje armię pod broń, przewozi wojsko na stały ląd azyatycki, bada wybrzeża Kamczatki, wysadza tam wojsko, szpieguje uzbrojenia rosyjskiego portu wojennego Władywostoku. W Petersburgu krążyły o tem już czas dłuższy wieści po gazetach. Publiczność początkowo im nie wierzyła, sądząc, że chodzi tutaj o straszenie jej, byle chętnie patrzała na odbudowanie floty wojennej rosyjskiej w wielkim rozmiarze. Lecz rząd rosyjski już od dłuższego czasu wiedział dokładnie, że Japonia robi przygotowania wojenne.

Z Władywostoku donoszą, że okręt wojenny japoński objechał całe wybrzeże Kamczatki i czynił wszędzie dokładne pomiary. W pobliżu Ochocka załoga statku wysiadła na ląd, wdarła się do wnętrza kraju i nawiązała stosunki z Tunguzami, którym oświadczyła, że niebawem przyjdzie do nowej wojny między Rosyą i Japonią, i że Kamczatka po wojnie będzie należała do Japonii.

Dlaczego Japonia pragnie wojny? Japonia zwyciężyła Chiny, ale Rosya odebrała jej owoce tej wojny. Japonia musiała wydać zdobyty już Port Artura i półwysep Liaotung po to, by je pod koniec r. 1897 zajęła Rosya, Przygotowywała się potem Japonia do wojny z Rosyą przez 7 lat, poczem w r. 1904 rozpoczęła ją i pokonała Rosyę. Ale pokój zawarty w angielskiem mieście Portsmouth, zawiódł oczekiwania Japonii w wysokim stopniu. Nie dostała odszkodowania czyli kontrybucyi wojennej, choć liczyła na te pieniądze, by pokryć wojenne wydatki. Wprawdzie zajęła Port Artur i port Dalnyj, lecz nie zdołała wyprzeć Rosyi z północnej Mandżuryi. Charbin został w rękach rosyjskich, wreszcie nawet Sachalinu nie zajęła w całości i połowę wyspy zatrzymała Rosya.

Japonia znowu pozornie pogodziła się z losem. Ale wzmocniła flotę i armię lądową. Pomnożyła koleje wiodące na przyszły plac boju. I teraz po czterech latach jest gotową. Pragnie teraz zupełnie odrzucić Rosyę od Oceanu Spokojnego. — W ten sposób najlepiej się zabezpieczy przed możliwem współdziałaniem Rosyi ze Stanami Zjednoczonymi przeciw Japonii. Jeżeli Rosya utraci Władywostok i Kamczatkę i jeżeli przestanie dotykać Oceanu Spokojnego, wówczas na tym Oceanie będą tylko dwa mocarstwa: Japonia i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Z czasem może się rozegra o ten Ocean walka między Japonia i Stanami, lecz wtedy Japonia będzie spokojną o swoje plecy od strony Rosyi.

Rosya obawia się też i przygotowuje się na przypadek wojny z Austryą. wzmacnia fortece i pomnaża wojsko w Król. Polskiem.

Do Grobu Chrystusa Pana.

(Dokończenie).

Odjazd z Jerozolimy do Jaffy. Przyjazd do Tryestu, powrót koleją do Krakowa.

W dniu następnym o godzinie 3 i pół rano poszli niektórzy pielgrzymi do Kościoła Zbawiciela na nabożeństwo, a niektórzy udali się do bazyliki Grobu św., aby przed odjazdem pożegnać się z tak drogim dla każdego chrześcianina miejscem i po raz ostatni pomodlić się na Kalwaryi i przy świętym Grobie.

O godzinie 5 udaliśmy się na stacyę kolejową. Żal przepełnił serca nasze, gdyśmy Jerozolimę opuszczali. Z niewymownym żalem i z sercem zbolałem żegnał każdy te mury święte, w których tyle wrażeń uczuliśmy, pokochawszy je, a teraz mieliśmy je opuścić, by nigdy ich może już w życiu nie oglądać!

Z dworca ruszyliśmy koleją na 2 partye. Pierwsza odjechała o godz. 6, a druga o godz. 6 i pół. Przy odjeździe żegnali nas Bracia zakonni i garstka Polaków, mieszkających tamże, a nawet Turcy i Arabi, którzy nas częściej widzieli. Wracaliśmy tą samą drogą, którąśmy przyjechali.

Około g. 10 stanęliśmy w Jaffie, gdzie z dworca kolejowego poszliśmy ku przystani morskiej, w której panował ruch i ścisk niezmierny. Arabowie wzięli nas z pomostu chwiejnego do swych łódek i przewieźli po spokojnem morzu do lekko kołyszącego się okrętu, przystrojonego w barwne chorągiewki i czekającego na nas.

O godzinie 11 i pół, gdy już wszyscy pielgrzymi byli na okręcie, rozległy się 2 strzały armatnie, syrena okrętowa zahuczała, kotwicę podniesiono, a na znak dany przez kapitana, okręt nasz powoli zaczął się poruszać.

Każdy z nas napawał oczy swe widokiem prześlicznym Jaffy i żegnał Ziemię św. z żalem i łzami w oczach.

Dzień po dniu uchodził nam bardzo mile na okręcie. Pielgrzymi mieli sposobność na nabożeństwach rozmyślać i pogłębiać wyniesione z Ziemi św. uczucia i wrażenia.

Morze było dosyć spokojne, dopiero w czwartym dniu rozkołysało się, a z powodu tego kilka osób, zwłaszcza niewiast, zapadło lekko na chorobę morską. Był to przedsmak burzy, bo niebo okryte było ciemno-szaremi chmurami, które błyskawice zygzakowato raz po raz rozświecały, a huk piorunów rozlegał się na około i deszcz lunął rzęsisty, zalewając pokład, tak, że suma nie mogła się wcale odbyć.

Na szczęście burza ta i kołysanka okrętu trwała tylko 6 godzin, i nastała pogoda.

Dnia 30 sierpnia około godziny 9 przed południem dopłynęliśmy szczęśliwie do przystani Molo Carlo w Tryeście.

Ponieważ w Tryeście mieliśmy przeszło 3 godziny czasu, więc każdy poszedł do miasta, by mu się nieco przypatrzeć.

Niektórzy poszli oglądać starożytną katedrę, inni znów podążyli do arsenału, należącego do Lloyda austryackiego, gdzie się budują okręty. Jest tam zatrudnionych 3500 robotników. Miasto Tryest jest bardzo ślicznie położone nad morzem i w górzystej okolicy.

O godzinie 12 i pół nastąpił odjazd z Tryestu. Tracąc coraz więcej z ócz morze, wjechaliśmy w śliczne górskie kraje górnej Austryi, a przejechawszy znowu kilkadziesiąt tuneli, stanęliśmy o godzinie 4 i pół w cudnej okolicy Asseling (Jesenicy), gdzie na dworcu zjedliśmy kolacyę, a po półgodzinnym wypoczynku, jadąc całą noc, stanęliśmy o godzinie 10 przed południem w stolicy Austryi, Wiedniu. Tam pociąg zatrzymał się kwadrans, poczem w dalszą ruszył drogę. W Breclawie (Lundenburg) zjedliśmy na stacyi obiad. Następnie wsiedliśmy znów do pociągu, dążącego wprost do Krakowa.

Po drodze tj. w Boguminie, Dziedzicach, Oświęcimiu, pielgrzymi z Górnego Śląska opuszczali nas, z którymi żegnaliśmy się z żalem, bo zżyliśmy się wszyscy jakby jedna rodzina podczas pielgrzymki do Ziemi św. Nie chcąc jechać do Krakowa, wracali bliższą drogą do swych ognisk domowych.

Do Krakowa zajechaliśmy dnia 31 sierpnia o godzinie 7 minut 56 wieczorem. Na powitanie pielgrzymów przyszła procesya z kościoła OO. Reformatów, wielu księży, bractwa kościelne z chorągwiami, feretronami, muzyką, straż ogniowa i stowarzyszenia katolickie ze świecami, tak że długie szpalery płonących świec oświetlały drogę. Rozwinięto chorągiew z Matką Boską i ze statuą, która była w Ziemi świętej, przy dźwiękach muzyki i z pieśnią: „Kto się w opiekę“, udaliśmy się pod przewodnictwem naszego kierownika pielgrzymki O. gwardyana Janickiego i w obecności Najprzew. ks. Biskupa Fischera do kościoła Braci Mniejszych.

U drzwi kościoła powitał wracających pielgrzymów O. Pius piękną i do łez wzruszającą przemową.

Na drugi dzień o godz. 8 rano odprawił O. Zygmunt Janicki dziękczynne nabożeństwo.

Taki był przebieg naszej pielgrzymki do Ziemi świętej.

KRONIKA.

Nasze ryciny. Jeden z 78 górników uratowanych podczas pożaru kopalni w Cherry w Stanach Zjednoczonych tak opisuje straszne chwile spędzone w zamkniętej ziemią i ogniem kryjówce:

„Kiedyśmy ogień spostrzegli — są jego słowa — uciekliśmy w miejsce, gdzieśmy się spodziewali znaleść wodę. Za nami zawaliły się chodniki i odcięły płomienie. — Niezawodnie straciliśmy przytomność. Przypominam sobie tylko, żem wypił dużo wody, sączącej po ziemi. Mieliśmy też trochę jedzenia w naszych korytkach. Później widziałem jak niektórzy obgryzali korę z drzewa, użytego do budowy sztolni, inni gryźli trzewiki. Nie zdaje się mi, abyśmy mieli jedną świadomość wielkiego niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdowaliśmy. Robiono nawet dowcipy. Jeden z nas powiedział, że żałuje, że niema ze sobą kart do grania celem zabicia czasu.

„Kiedyśmy usłyszeli uderzenia siekier, jeden z nas zawołał: „Wreszcie nadchodzą, aby nas wydobyć“! Pierwsze nasze pytanie do tych, co nas ocalili było; „Czy to dziś niedziela, czy poniedziałek?“ Bośmy istotnie mniemali, żeśmy pozostawali tylko 48 godzin pod ziemią, a tymczasem dowiedzieliśmy się, że upłynęło przeszło 8 dni“!

Jeden z zamkniętych w kopalni, stary Włoch, czwartego dnia napisał testament! „Piszę tu w ciemności, bo nasze lampy górnicze się wypaliły. Jemy korę i gryziemy skórę naszych trzewików. Nie obawiam się śmierci. Matka Boska niech cię ma w opiece. Miałem dzielną żonę“.

Zamknięci w kopalni górnicy mieli swego duchowego wodza, był nim niejaki Józef Crescini, który zorganizował ucieczkę i wzmocnił murem zapory przeciw płomieniom, utworzonej przez zawalenie się sztolni. Ratujący, obaliwszy ten mur, znaleźli za nim leżące ciała i myśleli, że natrafili na trupy, gdy nagle ujrzano podnoszącą się rękę. — Przekonano się następnie, że wszyscy oddychali jeszcze i wyniesiono ich z kopalni. Pierwszy z ocalonych, wyniesiony na światło dzienne, zdołał tylko wyszeptać kilka słów bez związku, a jego poczerniała twarz opalona była przez płomienie.

Z znajdujących się w chwili katastrofy pod ziemią górników, wyratowano bodaj połowę. — Reszta, około

150 górników, padła ofiarą strasznej katastrofy, w tem wielu Polaków.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy ratujący oddział wpada do zamkniętych górników.

W Rotenburgu na Morawie przyszło na świat u jednego z gospodarzy miejscowych cielę z trzema nogami. Zresztą jest zupełnie normalnie wyrośnięte, skacze jak może na swoich trzech łapach, chowa się doskonale. Jedno z pism wiedeńskich podało fotografię tego niezwykłego tworu, którą powtarzamy w dzisiejszym numerze.

Pomnik grunwaldzki w Krakowie. Słynny polski muzyk Ignacy Paderewski ofiarował miastu Krakowowi na rocznicę grunwaldzką wspaniały pomnik króla Jagiełły odlany ze spiżu. Pomnik ma dwanaście metrów wysokości, tj. będzie wyższy, niż dwupiętrowy dom. Jeszcze niewiadomo, gdzie go postawią, prawdopodobnie na

W objęciach śmierci.



Uratowanie górników. (Patrz „Nasze ryciny").

placu Matejki, koło Bramy Floryańskiej. Odsłonięcie pomnika odbędzie się w lipcu 1910 roku, podczas uroczystości grunwaldzkich.

Niemcy w Austryi, a zwłaszcza na Morawach, zadzierają często z ludnością słowiańską. W niedzielę 28 listopada szli Niemcy z Hustopecza do Kurdiejewa na zgromadzenie, na którem miał przemawiać wszechniemiecki poseł Beran. Wracając do Hustopecza obrali drogę koło czeskiego domu narodowego. Idąc, nazbierali kamieni napełniając niemi kieszenie. Niektórzy nieśli w rękach kamieni po kilka kilogramów. Nagle zaczęło się kamienowanie czeskiego domu. Najpierw zbombardowano parter, potem zabrano się do piętra. W domu narodowym przebywało wówczas do 80 Czechów, którym groziło poważne niebezpieczeństwo. Wszak znaleziono potem w niektórych pokojach na podłodze więcej kamieni, niż bywa zwykle na szosie. Zraniono też kilka osób, wśród nich jedną kobietę. Gdy tłuszcza niemiecka załatwiła się z domem narodowym, pociągnęła dalej pod przywództwem radnego Kneissa i posła Berana pod szkołę czeską prywatną, założoną w tym roku przez Macierz szkolną. Pofolgowawszy sobie najpierw wrzaskami, zabrali się i tu do bombardowania. Szkołę zasypano formalnie kamieniami. Gromada napastników wzrastała z każdą minutą, przybywali wciąż nowi demonstranci. W zwiększonej liczbie poszli pod hotel „Austrya", ustawili się tam wzdłuż ulicy i zaczepiali przez noc czeskich przechodniów. Sporo osób zbito do krwi. Na ostatek zaczęto zbierać jeszcze raz kamienie i wybito szyby w mieszkaniach rodziców, posyłających dzieci do czeskiej szkoły.

Tani sposób tuczenia świń. Ponieważ, jak pisze *Przewodik Kółek rolniczych*, pasze treściwe, jak ospa, otręby i t. p., dodawane dziś do karmy tucznym świniom odstraszyły niejednego wysokiemi cenami swemi od opasania trzody chlewnej, nie od rzeczy będzie podać tańszy, a wypróbowany już sposób tuczenia świń samymi ziemniakami i to pieczonymi.

Czyniono w tym kierunku doświadczenia: stawiono na opas dwie partye świń jednej ilości, jednakowej wagi i równego wieku. Karmiono jedną partyę pieczonymi ziemniakami, a drugą zwyczajną karmą z dodatklem otrąb i śruty. Wynik był ten, że u świń karmionych samymi kartoflami wypadło 50 kg. wyprodukowanego mięsa o 18 kor. taniej, niż u świń partyi drugiej. Przytem mięso świń było po ziemniakach najprzedniejszej jakości i uznane przez samych rzeźników jako towar "trwały". Ścisłe obliczenia liczbowe, uwzględniające ilość skarmionych ziemniaków, ich cenę i zawartość skrobii, wykazały, że na wyprodukowanie 1 kg. żywej wagi potrzebowały te świnle przeciętnie 4 kg. skrobii. Cen ziemniaków, branych tam do kalkulacyi opłacalności, nie możemy tu brać ściśle pod uwagę, ponieważ zależą one od miejscowych warunków. W danych doświadczeniach opas czysto ziemniaczany, prowadzony do 125 kg. żywej wagi, opłacał się znacznie lepiej, niż tuczenie przez dodawanie karm treściwych. Pieczenie ziemniaków odbywało się tam w specyalnych piecach, u nas można do tego używać zwykłych pieców chlebowych. Ogrzewa się je tak, jak do pieczenia chleba i wsypuje do nich ziemniaki na 2 godziny. Jeśli odrazu pieczemy większą ilość ziemniaków, to można je przechowywać w dołach, przyczem należy je dobrze ubić.

Co czynić gdy koń dostanie kolek? Wielu właścicieli koni, nie wiedząc, jak sobie radzić w podobnym wypadku, namyśla się i waha w chwilach najpilniejszych do zaradzenia tej nagłej i niebezpiecznej chorobie; później ratunek jest już niemożebny i wiele koni ginie wskutek początkowego zaniedbania choroby. Należy zatem wiedzieć, że konia, który objawia chorobę kolek, powinno się przeprowadzić zaraz na miejsce wygodne i grubo wysłane słomą lub inną ściółką, żeby przewracając się po ziemi, nie stłukł się lub nie zranił. Nie można wzbraniać koniowi kładzenia się i tarzania po ziemi, gdy mu to przynosi ulgę w cierpieniach, należy tylko wstrzymywać go nawoływaniem od gwałtownego rzucania się na ziemię, wskutek czego mogłoby przyjść łatwo do pęknięcia żołądka lub kiszek. Nie należy dawać wtedy koniowi żadnego pokarmu, a do picia powinien dostawać czystą wystałą wodę w małych dawkach, jak często koń zechce. Należy także zastosować silne nacieranie brzucha, a jeżeli koń poci się lub ziębnie zbytecznie, natenczas i górne części ciała powinny być nacierane, a prócz tego starać się trzeba o spowodowanie

silnego opróżnienia kiszek za pomocą kilkakrotnie zadawanych lewatyw. Wymienione tu środki okazały się w wielu razach dostatecznymi do zwalczania choroby. W razie jednak dłuższego cierpienia i opóźnienia się lekarza, można użyć lekarstwa, złożonego z 8 gr. proszku aleosowego z 100 gr. soli glauberskiej, zmięszanych z wodą. Lekarstwo to powtórzyć można 4 razy w dwugodziennych odstępach.

Złączeni w śmierci. W mieście Rybakach w Prusiech zdarzył się dziwny wypadek. W tamtejszym szpitalu mieszkało społem w jednej izdebce dwóch mężczyzn, którzy się tak kochali, że prosili Boga, ażeby im razem umrzeć pozwolił. Życzenie ich spełniło się. Po krótkiej chorobie obydwaj zmarli w jednym dniu i we wspólnym grobie pochowani zostali, ażeby i po śmierci mogli pozostać nierozłączeni.

Cholera szerzy się w Rosyi. Obecnie zawitała już do Moskwy. Zapadli na nią pijacy, zwłaszcza ci, co nieczyszczony spirytus pili. Policya zakazała sprzedaży tego trunku.

Śmierć z powodu milionowego spadku. Pewna kucharka w Hawrze we Francyi otrzymała po śmierci swego brata w Ameryce spadek w sumie kilku milionów dolarów. Wiadomość o spadku wywarła na nią tak silne wrażenie, że padła natychmiast trupem wskutek ataku sercowego.

Okropna eksplozya wybuchła w Hamburgu w gazowni. 60.000 kubicznych metrów gazu eksplodowało. Cała gazownia wyleciała w powietrze. 27 osób zabitych, 41 ciężko rannych.

Kapłan polski i nauczyciel pruski. Przed izbą karną w Gnieźnie stawał ksiądz proboszcz Kruszka z Ostrowitego o obrazę miejscowego nauczyciela Luchnera. Nauczyciel dopatrzył się obrazy w słowach wypowiedzianych z kazalnicy. Ksiądz Kruszka skarżył się, że dzieci, które w szkole uczą się religii, nie mają o niej żadnego wyobrażenia — 'dzieci takie z wielką trudnością przygotowuje się do Sakramentów św. Przytem miał się wyrazić, że głupią jest pedagogika wpajana dzieciom z pomocą kija. Był pedagogiem w Galicyi, ale tam nie istnieją żadne „dodatki“, jakie tu pobierają nauczyciele. „Bóg jest sprawiedliwy — pragnie, żebyśmy pozostali Polakami“. Nauczyciel Luchner spisał słowa kapłana i podał na niego skargę. Sąd dopatrzył się winy w słowach „głupia pedagogika“ i skazał księdza Kruszkę na 100 marek grzywny. W procesie, który trwał 4 godziny, występowało jedenastu świadków.

O okropnej żarłoczności rekinów, czyli haji morskich opowiada pięciu marynarzy, którzy 14 listopada zdołali ocalić życie, gdy w pobliżu portu w Singapore w Azyi zatonął francuski statek „La Seyne“. Około 100 osób straciło wówczas życie, a wszystkie zostały pożarte przez rekiny. Potwory morskie ofiary swoje wprost połykały w oczach tych, którzy życie swoje ocalili. Jakiegoś podróżnego ściągnęły nawet z masztu, wystającego na kilka metrów z morza, i rozerwały we wodzie na sztuki.

August II. i kowal. August II, król polski niedarmo nosił przezwisko mocnego; odznaczał się nadzwyczajną siłą. Pewnego razu, kiedy wyjechał na spacer, koń jego zgubił podkowę; wstąpił więc do kuźni w pobliskiej wiosce. Kowal wyniósł podkowę i zabierał się do podkucia konia. Lecz król chciał naprzód spróbować, czy podkowa dosyć mocna. Wziął ją w obie ręce i przełamał, jak marchewkę.

— Ta podkowa na nic się nie zda — rzekł król. Kowal prędko podał drugą, ale i tę król tak samo złamał. Kowal kiwał głową, a czeladnicy ze zdziwieniem spoglądali to na króla, to na siebie. Nareszcze król udał, że znalazł podkowę dość mocną, i polecił kowalowi podkuć nią konia, poczem za zapłatę dał mu talara. Majster wziął pieniądz między palce i zgiął.

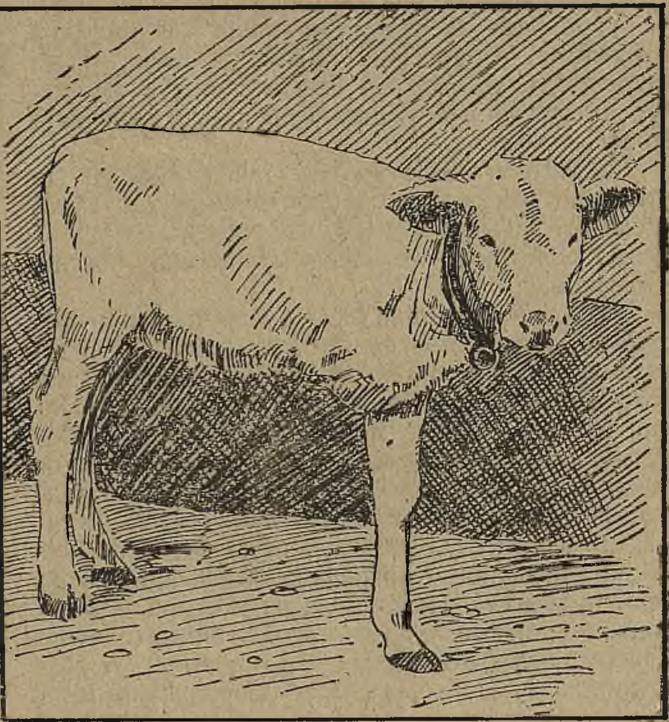
— Ten talar nic nie wart — rzekł do króla. — August dodawał mu jeszcze kilka talarów, a kowal wszystkie zgiął.

— No, to weźcie tego dukata — powiedział nareszcie monarcha, zrozumiawszy zamiar kowala — ten pieniądz będzie chyba dobry.

Kowal podziękował, a król był rad, że trafił na kogoś równie mocnego, jak on sam.

Ze statystyki Londynu. Olbrzymie to miasto liczy w administracyjnych granicach swoich 4,859.689 osób wedle spisu z 1-go listopada 1908 roku. Dalsze trzy milony żyją w przytykających do Londynu przedmieściach, które stanowią odrębne jednostki administracyjne. Więc Londyn rzeczywiście liczy okrągłe 8 milionów mieszkańców, więcej niż Galicya. Ulice mają 3, 4 i 5 kilometrów długości, domów jest 611.877 fabryk i warsztatów 28.265. Londyn spożywa rocznie 419.037 ton bitego mięsa importowego, 58.735 wołów, 375.950 baranów, 173.331 ton ryb, 340 milionów litrów mleka.

Dziwotwory.



Niecałe cielę. (Patrz „Nasze ryciny“).

Gwoździe z krzyża św.

(Z legend i opowieści chrześcijańskich).

Gdy cesarzowa Helena znalazła szczęśliwie krzyż święty w Jerozolimie, znaleziono też równocześnie w ziemi i gwoździe, któremi przybito ciało Zbawiciela; niewiadomo jednak, czy ich było trzy, czy cztery — prawdopodobnie było ich cztery. — Rzymianie bowiem — według Pliniusza — przytwierdzali u stóp krzyża kawałki drzewa, by ska-

zańcy mogli sobie na nich oprzeć nogi, która to okoliczność potwierdza mniemanie, wyrażone powyżej, iż nogi Zbawiciela były przebite gwoździami jedna obok drugiej, nie zaś jedna na drugiej. Dalsze dzieje relikwii gwoździ świętych opowiada tradycya w sposób następujący:

„Konstantyn Wielki dostał od pobożnej swej matki dwa z tych świętych gwoździ i kazał je umieścić jeden na hełmie swoim, drugi zaś w cuglach konia swego. Święty Ambroży, oraz kilku innych pisarzy mówi, że Konstyntyn jeden z tych gwoździ (albo może część tylko z niego) kazał wprawić w kosztowny dyadem, który nosił przy największych uroczystościach kościelnych, a drugi, w przepyszne cugle swego konia, czerpiąc w widoku jego otuchę wśród największych niebezpieczeństw wojennych.

Trzeci gwóźdź miała wrzucić Helena według twierdzenia św. Hieronima i Grzegorza z Tours, do morza Adryatyckiego, aby zażegnać straszną burzę morską, która się srożyła w czasie jej przeprawy przez to morze, a rozszalały ten żywioł uspokoił się natychmiast. Ale nie jest to podobnem do prawdy, by pobożna ta cesarzowa miała się umyślnie pozbawić tej drogocennej relikwii — należy raczej przypuścić, iż gwóźdź ten kazała zanurzyć na pewien czas w morze wzburzone, a potem znów wyciągnąć.

Czwarty wreszcie gwóźdź miała pobożna ta monarchini ofiarować wystawionemu przez siebie kościołowi świętego krzyża w Rzymie.

O relikwiach gwoździ świętych wiemy obecnie co następuje:

W Rzymie znajduje się we wspomnianym kościele św. Krzyża żelazny gwóźdź, który, jak przypuszczają, ma być darem św. Heleny. Brakuje mu ostrego końca, który odpiłowano i zastąpiono innym. Niektórzy sądzą, że sproszkowane opiłki domieszano do innych gwoździ, które okuto na wzór prawdziwego, przez co ilość świętych gwoździ znacznie się powiększyła. Inni zaś twierdzą, że kawałek gwoździa, który niedostaje, użyty został do hełmu lub dyademu Konstantyna Wielkiego, i ztąd to pochodzi owa sławna żelazna korona królów Lombardyi; nazwę tę nosi korona złota (obecnie przechowująca się w Monza w Lombardyi), w której wnętrzu znajduje się bardzo cienka klamra żelazna, ukuta całkowicie lub częściowo z kawałka świętego gwoździa.

Drugi z świętych gwoździ znajduje się w skarbcy tumu paryskiego, dokąd się dostał z opactwa St. Denis, które go znów od króla Karola Łysego w darze otrzymało. Król ten zabrał go ze skarbca Akwizgrańskiego, który mu Karol Wielki darował, a ten dostał go znów od Patryarchy Jerozolimskiego.

Długość jego wynosi 3 cale i 3 linie, głowa jego jest zgniecioną, końca brakuje, cały mocno zardzewiały; gwóźdź ten szczególnym jest przez to, że wbitą jest w niego drzazga drzewa, która prawdopodobnie przyczepiła się do niego, gdy go wyciągano z drzewa krzyża świętego. Katedra paryska posiada także ostrze gwoździa św.; dar księżny Palatynatu. Kawałek ten jest blisko trzy czwarte cala długi i przechowany jest, równie jak i cały ów gwóźdź, w naczyniu kryształowem.

Katedra w Trewirze szczyci się posiadaniem trzeciego gwoździa, którego ostrzu brakuje tylko bardzo maleńkiej cząstki. Gwóźdź ten jest bardzo długi, ma bowiem 6 i pół cala długości. Cząstka brakująca ma się znajdować w katedrze w Toul.

W rozmaitych miastach pokazują również święte gwoździe — ale te są relikwiami drugiego rzędu; są to bowiem zwykłe gwoździe, mieszczące w sobie opiłki z gwoździ prawdziwych, lub też potarte tylko o nie. Wymyślono bowiem ten sposób, by powiększyć ilość świętych gwoździ przez domieszanie opiłek z gwoździa prawdziwego, lub też pocieranie podobnych gwoździ o prawdziwe, zrobionych z żelaza i rozdawano je różnym kościołom i osobom.

Święty Karol Boromeusz, bardzo święty kapłan i do najwyższego stopnia sumienny co do relikwii, kazał zrobić kilka gwoździ na wzór tego, jaki się znajdował w Medyolanie, a potarłszy je o niego, rozdał różnym kościołom i osobom. Sztuczny taki gwóźdź otrzymał od niego król Filip II., jako cenną relikwię. Ślady tego sposobu pomnażania świętych pamiątek i relikwij, istniały już w pierwszych wiekach chrześciaństwa.

Święty Grzegorz Wielki i inni dawni Papieże, rozdawali naprzykład jako relikwie, opiłki z okowów św. Piotra; również dodawali je do innych okowów, które robiono na wzór prawdziwych.

Błogosławieni miłosierni.

(Opowiadanie).

Pewnego zimowego wieczora, wśród mroźnej zawiei, zapukał ktoś do drzwi samotnego dworku, a gdy Ludwika, młoda siostrzenica pani domu, będąca przypadkowo w sieni, drzwi otworzyła, ujrzała przed sobą młodego mężczyznę, proszącego o przytułek na noc. W tej chwili nadbiegła pani domu, kobieta zimna, bez serca, i oświadczywszy, że w swoim domu włóczęgów nie przyjmuje, drzwi przed nim zatrzasnęła. Nieznajomy oddalił się, ale zaraz powrócił i znowu zapukał nieśmiało. Rozgniewana otworzyła pani, trzymając w ręku zapaloną świecę i przypatrywała się nieznajomemu, który był wysokiego wzrostu, wysmukły, jasne miał włosy, duże niebieskie oczy, ale był blady i wycieńczony.

— Jak daleko, proszę pani, aż do najbliższego dworu, albo wsi? — zapytał drżącym głosem.

— Nieco dalej, jak trzy mile, — odpowiedziała — ale tam niepotrzebnie pójdziecie, bo ta pani, która w tym dworze mieszka, tak samo nie cierpi włóczęgów, jak ja, ani też nie sprzedaje wódek i napojów.

— Ja nie żądam napojów, — odrzekł nieznajomy, — chciałbym tylko czemkolwiek się posilić. Nie obawiaj się mnie, pani: jestem rannym i zaledwie na nogach utrzymać się zdołam. Przyodziewek mój bardzo lekki, a na dworze takie okropne zimno. Powracam do rodziców moich w G., gdzie chcę wypocząć i z ran się wyleczyć; przed trzema dniami okradziono mię w podróży i teraz jestem ogołocony ze wszystkiego i pieszo dalszą podróż muszę odbywać. Proszę nie obawiaj się mnie pani, chciałbym tylko rozgrzać się nieco przy ogniu i posilić się, chociażby zeschłym kawałkiem chleba. Pan Bóg stokrotnie to wynagrodzi!

Przytem patrzał tak miłosiernie i rzewnie, że wzrok ten byłby prawie poruszył serce niemiłosier-

nej pani. Tymczasem przypomniała sobie w tej chwili, że już często w podobny sposób ją oszukiwano. Właśnie bowiem wojna się skończyła, a każdy włóczęga i żebrak wydawał się za rannego wojaka, którego w drodze okradziono. Jeden któremu niedawno temu dała jałmużnę, wlókł się dalej, opierając się na szczudłach, aż gdy sądził, że nikt go już nie widzi, wziął szczudły na ramiona i zdrów i wesoły szedł sobie dalej. To wszystko widziała ona z okna górnego piętra i postanowiła sobie mocno, nic nie dawać odtąd żebrakom, ponieważ tak często ją oszukiwano.

Rzekła więc nieszczęśliwemu, że niezawodnie dosyć ma pieniędzy do dalszej podróży i że chodzi mu tylko o to, aby noc mógł w jej domu przepędzić, zrabować dom i ile możności ją zamordować. Kazała mu zatem iść sobie dalej.

W tej chwili nadeszła siostrzenica Ludwika, która w kuchni była zatrudniona i giestami błagała ciotkę, aby nieszczęśliwego nie odpychała, ale ta pozostała niewzruszona i rozkazała wędrowcowi, aby się natychmiast wynosił.

Boleśnie wzdychając oddalił się biedak, ale ledwie kilka kroków postąpił na zmarzłym śniegu, powrócił i zapukał po raz trzeci. Gdy pani domu drzwi otworzyła, zaledwie się trzymał na nogach; twarz jego była bledszą.

— Co za zuchwałość! — zawołała dama.

On na nią spojrzał błagalnie i rzekł:

— Pani, mam matkę w G. i nie o siebie mi chodzi, ale o nią; dla niej chciałbym to życie zachować — aby ją ujrzeć. Jeżeli tę noc będę zmuszony przepędzić na dworze, już jej w tem życiu nie zobaczę, a ona straci ostatnią podporę.

— To tak każdy mówi, że spieszy do matki, była odpowiedź nielitościwej kobiety. Niewiasty są czulsze i tkliwsze od mężczyzn, ale niewiasta nieczuła okrutniejszą jest od najdzikszego tyrana i z szatańską oziębłością patrzy na cierpienia bliźniego. Przypomniało jej się wprawdzie, że i ona ma syna przy wojsku, który teraz także pewnie powraca do domu, a kto wie, w jakiem jest położeniu — wszakże i ta myśl wyraźny palec Boży, nie wzruszyła kamiennego jej serca.

Jestem rannym, mogę panią przekonać — —

— Ja ran waszych widzieć nie pragnę; toż i o rany można się postarać, aby na nich robić interesa. Zresztą ja czytam gazety i wyrobiłam sobie zasadę, że najlepszą jałmużną jest składka płaconą regularnie do towarzystw dobroczynnych, ale włóczęgom z zasady nic nie daję, tem mniej w swoim domu nie nocuję. Proszę się wynosić!

I znowu nadbiegła Ludwika i błagała ciotkę, ale ta ją brutalnie odepchnęła i zatrzasnęła drzwi przed schorzałym i chwiejącym się ze słabości wędrowcem, który poszedł i więcej nie powrócił.

Pani domu usiadła przy kominku; z kuchni dochodziła ją woń potraw, przyrządzanych na wieczerzę, — ale ona nie czuła tego apetytu, co przedtem, tylko niepokój wewnętrzny. Poprawiała ogień, zapaliła drugą świecę, zajęła się robótką, ale nie mogła się uspokoić. Wstała i poszła do kuchni. Przechodząc przez sień, ujrzała coś na ziemi. Był to mały kapciuch do tytoniu. Podniosła go, poczęła oglądać i — zadrżała. Kapciuch bardzo był podobny do tego, który dała synowi swemu, Karolowi, gdy ten odchodził na wojnę. Na obwódce z czerwonego safianu napisane było atramentem: „Kochanemu R. H. ofiaruje K. F.", w środku było nieco tytoniu, fajeczka i pognieciony liścik. Gdy list wyjęła i przeczytała nagłówek: „Kochany synu!" — przeraźliwy wydała krzyk.

List ten pisany był własną jej ręką, kapciuch był własnością syna — nieznajomy wędrowiec miał więc z nim stosunki i wiedział niezawodnie co się z nim dzieje.

Zaniepokojona do najwyższego stopnia, zawołała Ludwikę i rozpaczliwym wzrokiem na nią patrząc, zapytała, gdzie ten obcy wędrowiec? Czy już poszedł? Dokąd mógł się udać? itp. Dziewczynka przestraszona i pomieszana odpowiedziała, że trudno go teraz odszukać, że może gdzie znalazł jakie schronienie — największe zaambarasowanie widać było na jej twarzy, ale ciotka w swem przerażeniu nie zważała na to, lecz wybiegła przed dom, biegała po śniegu tu i tam, wołała w każdą stronę drogi za nieznajomym, słuchała — ale tylko echo z sąsiedniego lasu jej odpowiadało wędrowca nie było ani śladu, Powróciła więc do domu, usiadła w swym pokoju i zaczęła gorzko płakać. Teraz to żałowała swej nieczułości i w duszy ślubowała Bogu, ze odtąd każdemu nieszczęśliwemu poda litościwą rękę. Wtem odezwały się na dworze dzwoneczki saneczek sanki zatrzymały się przed domem. Ciotka wybiegła, do sieni i nie zadługo była w objęciach syna. Co za radość dla matki! nie był schorzałym ani cierpiącym, ale silnym i zdrowym i w oficerskim mundurze wcale się pięknie przedstawiał. I Ludwika nadeszła i witała się z bratem — ale bardzo była pomieszana i oczy miała zaczerwienione, jak gdyby od płaczu.

Podano wieczerzę. Karol zajadał smacznie, ale matka nic przełknąć nie mogła. Wciąż brzmiały jej w uszach chwiejne kroki wędrowca po zmarzłym śniegu i słaby jego głos, którym błagał o ciepły kącik i suchy kawałeczek chleba.

Po wieczerzy opowiadał Karol przygody wojenne, jakto nieraz wśród długich marszów upadali ze znużenia, i nieraz przez całą dobę nie mieli co włożyć w usta i najdokuczliwszy głód znieść musieli. Potem opowiadał, jak życie jego było w niebezpieczeństwie: ścigany przez nieprzyjaciela, ciężko został raniony, ale towarzysz pochwycił upadającego i z niebezpieczeństwem własnego życia zaniósł go do obozu.

— Gdyby nie on — dodał, — nie byłbym tu więcej; jemu życie zawdzięczamy. Byliśmy potem nierozłączonymi towarzyszami, dzieliliśmy się żywnością i pomagaliśmy sobie wzajemnie, i jeżeli kogo szczerze kocham, to mojego Roberta — brat nie mógłby mi być droższym.

— I czemużeś go nie przywiózł? zapytała matka. — Chciałabym mu chętnie okazać wdzięczność za ocalenie mi syna. Żadna ofiara nie byłaby mi za wielką. Napisz mu, aby na odwiedził.

Ale Karol smutno potrząsł głową.

— Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje? Rannego wzięto do niewoli niewiem, co się z nim stało. Oddałbym wszystko, co mam, aby jemu dopomódz — czyniłem, co mogłem, aby się o nim dowiedzieć, ale dotychczas nie mam o nim żadnej wiadomości. Ma też nieszczęśliwą matkę, która go bardzo kocha, mieszka ona w G. — biedna kobieta!

Karolowi łzy stanęły w oczach — wstał i stanął przy kominku. Biedny odepchnięty wędrowiec

stanął znowu przed oczami matki, dręczona wyrzutam sumienia, zapomniała o szczęściu swem, że syn jej zdrowo powrócił.

Naraz usłyszała :

— Ach Boże! Zkąd to się wzięło? — Karol trzymał w ręku ów kapciuch, który wędrowiec był zgubił.

— Zkąd to się tu wzięło? — zapytał niespokojnie. — Ten kapciuch dałem Robertowi w tym dniu, w którym mi życie uratował. Nie miałem nic lepszego, cobym mu był mógł dać w upominku; ale on go przyjął i przyrzekł, że przez całe życie szanować go będzie jako drogocenną pamiątkę. Kto go tu przyniósł, matko? Matce zaćmiło się w oczach; drżała jakoby we febrze i ledwie się trzymała na nogach.

— Był tu włóczęga, który go niezawodnie zgubił, ale to nie mógł być twój Robert, jabym porządnego człowieka nie była wypchnęła zu drzwi — rzekła w okropnym strachu. — Może on ten kapciuch ukradł. Był to wysoki, wysmukły mężczyzna, oczy miał niebieskie i jasne włosy, — Więcej mówić nie mogła.

Karol stanął jak wryty. Rozpaczliwy wzrok rzucił na matkę i zawołał:

— To był mój Robert! Głodny i ranny — ten który mi życie uratował, mój wybawca — a tyś go za drzwi na mróz i zawieję wypchnęła! O matko! matko! jakże tak kamienne mogłaś mieć serce!

— Karolu, wybacz mi! — zawołała z płaczem, — cierpiałam wiele, bardzo wiele! Żałowałam, ale za późno!

Karol wziął czapkę i zwrócił się ku drzwiom.

— Pobiegnę za nim, aż go znajdę, chociażbym go na rękach miał przynieść do domu.

Wtem zastąpiła mu drogę Ludwika.

— Bogu dzięki, — rzekła, — ja go uratowałam. Ciotko, przez cały czas drżałam z obawy, niewiedząc, co ty na to powiesz. Nie mogłam na to patrzeć, aby ten nieszczęśliwy szedł w tem powietrzu na śmierć niechybną, dlatego wpuściłam go do kuchni i zaprowadziłam ztamtąd do gościnnego pokoju. Tam zaniosłam mu świecę, część naszej wieczerzy, dałam mu rozgrzaną cegłę, aby sobie zmarzłe nogi ogrzał, i kazałam mu zaraz po posileniu się i rozgrzaniu położyć się w łóżko.

— Niech cię Pan Bóg zato błogosławi! — zawołała matka z Karolem.

— Powiedziałam mu, że tę noc będzie mógł spokojnie przepędzić. zamknęłam drzwi na klucz i schowałam go do kieszeni, aby mu nikt nie przeszkadzał.

Niepodobna opisać radości matki, która Bogu dziękowała, że sprawa tak pomyślnie wzięła obrót, ani też radości dwóch przyjaciół, gdy się po długiem niewidzeniu po raz pierwszy uścisnęli.

Nie potrzeba już wiele dodawać. Robert przyszedłszy nieco do siebie, odjechał do matki; a gdy zupełnie odzyskał i po raz wtóry zapukał do domu nielitościwej pani, aby poprosić o rękę Ludwiki, która go od śmierci, a ciotkę od winy zabójstwa uratowała, wtenczas go nie odepchnęła, jak przy pierwszem spotkaniu, ale przyjęła z otwartemi rękami. Od tego czasu matka Karola ustawicznie powtarza:

— W moim domu nie wolno pod żadnym warunkiem odpędzać od drzwi żebraka, lub puścić go bez jałmużny. Nie wątpię o tem, że pomiędzy żebrakami wiele jest próżniaków, kłamców i oszustów ale teraz trzymam się tej zasady: lepiej dać wsparcie niegodnemu żebrakowi, jak odmówić wsparcia temu, który istotnie potrzebuje; niechby każdy pamiętał na słowa Zbawiciela: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.“

Jak Fryc Hosemeyer

niebezpieczeństwo polskie zażegnał.

(Opowieść ucieszna z życia w Poznańskiem).

Był to śliczny dzień wrześniowy. Miasto przybrało widok uroczysty. Na rynku i głównych ulicach wznosiły się dumnie bramy tryumfalne i maszty umajone a w wielu miejscach od okna do okna przeciągnięte były girlandy. Na ulicznych domach powiewały chorągwie w kolorach pruskich i niemieckich, bo trzeba wiedzieć, że się odbywał „niemiecki dzień“, zjazd hakatystów.

Pan Fryc Hosemeyer, radca miejski, w różowym jest humorze. Już od czterech tygodni gotuje się do mówki, którą na głównem zebraniu zamierza wypalić przeciw Polakom. Równocześnie ma nadzieję, że przy tej sposobności uzyska order, cel jego marzeń od lat wielu, o który mu godna jego połowica codzień głowę suszy, zwłaszcza od czasu, jak mąż jej przyjaciółki tego zaszczytu dostąpił.

Należycie wyfryzowany, zamiast wstążki orderowej z bławatkiem we fraku, w białych rękawiczkach udał się pan Fryc na salę zebrań. Zapoznawszy się z najznakomitszymi gośćmi wstąpił na mównicę — bo on miał pierwszą powiedzieć mowę. A mówił długo, mówił dobitnie, mówił z werwą i wykazał jasno jak na dłoni grożące niemczyźnie niebezpieczeństwo, jeżeli niemiecki Michałek się nie ocknie i do energicznego czynu nie porwie. A nie mówił na wiatr. Twierdzenia swoje poparł niezbitemi dowodami. Już nawet w Pomeranii Polacy zakupili 40 wielkich majątków, pół miliarda rzucają na Śląsk, aby wyrugować Niemców, amerykańska Polonia ściąga flotę, aby niespodzianie napaść na Niemcy, a Sokoły czyhają tylko na sposobność, aby się rzucić na armię niemiecką. Pieniędzy do wojny Polakom nie brak, sami Jezuici przynajmniej sto milionów sypnęli do skarbu narodowego, Germania w ucisku poniewierana, Polacy wszędzie górą. Jeżeli nareszcie, tak zakończył, nie porwiemy się do czynu, w biegu dwóch do trzech lat ostatni ślad Niemców zaginie w tym odwiecznie niemieckim kraju.

Wielu z jego słuchaczów nieznacznie się pod nosem uśmiechało, ale wszyscy zapamiętale krzyczeli brawo.

Po ciężkiej pracy mówców o godz. 2 nastąpiła przyjemniejsza część „dnia niemieckiego“, bankiet. Tu dopiero rozstajały serca stroskane i wstąpiła do nich niejaka otucha. Toasty sypały się jak z roga obfitości, jedne gorętsze od drugich. Pan Fryc Hosmeyer wybrał dla siebie pierwszą mowę, lecz ostatni toast. Głosem, który z pewnością Bismarck w Walhalli usłyszał, chwalił jego dzieło i piorunował na Polaków. Ausrotten! ausrotten[1]) musi być

[1]) „Wyniszczyć!

naszem hasłem. Gdy tak przynajmniej tuzin Polaków zjadł na wety, popił to wszystko dla strawności dwiema flaszkami niemieckiego szampana i usiadł ogłuszony prawie przez zasłużone hurra, zadowolony ze siebie.

Tymczasem dalsi goście rozjechali się do domu. Panu zaś Frycowi wcale spiesznie z tem nie było. W gronie dobrych przyjaciół jeden kufel piwa po drugim przepuścił przez gardziel wyschniętą. Ile tych kufli było, sam nie liczył i gospodarz potem wsadził mu na rachunek 15.

Nareszcie gdy wybiła dwunasta i on uczuł potrzebę wypoczynku i zabrał się z powrotem do domu. Ale, czego idąc na zebranie nie zauważył, o tem przekonuje się teraz z zdziwieniem, że chodniki są o wiele za wązkie. To też nie jego była wina, że w pewnem miejscuześliznął się i padł jak długi do rynsztoku. A byłby tam leżał może do rana, gdyby nocny stróż Gwizdała nie zlitował się nad nim. Lecz nie mogąc sobie dać rady z panem Hosemeyerem, ponieważ dobrej był tuszy, musiał do pomocy zawołać kolegę. Tak we dwójkę wziąwszy go pomiędzy siebie, zawlekli z trudem do domu. Ale choć był napół nieprzytomny, tyle jednak miał świadomości, że stróże między sobą mówili po polsku. To też, obrażony w uczuciach swoich patryotycznych, ciągle bełkotał: nicht .... nicht .... polnisch quatschen[2])!

Teraz dopiero poznał, jak wielki błąd popełnił, że swego czasu w radzie miejskiej za tem głosował, żeby w braku innych odpowiednich kandydatów do urzędu nocnych stróżów dopuszczano i Polaków.

Jak go małżonka przyjęła, niech to pokryte zostanie wieczną tajemnicą. Byłby może nawet doznał dobitnych dowodów jej czułości, gdyby jej nie udobruchał temi słowy: teraz orderek przyleci na pewno!

Z niemałym trudem ułożyła go sama do łóżka. I zasnął niebawem snem sprawiedliwych. A spał długo jakby zarżnięty. Już wybiła dziesiąta godzina, a on się jeszcze nie przebudził. Lecz jakaś straszna zmora zaczyna go dusić. Widzi wyraźnie, jak roznosicielka gazet wchodzi do pokoju i kładzie przed nim najnowszą gazetę hakatystyczną. Chwyta chciwie, patrzy, a oczom swoim nie dowierza. Nie, to być nie może! Czyta jeszcze raz to samo. O zgrozo! Na czele tłustemi literami wydrukowany był telegram tej treści:

„Flota polska dostała się przez Odrę i Wartę niepostrzeżenie do Poznania. Tu przyszło do walnej bitwy z flotą niemiecką pod dowództwem Tirpitza. Polskie latawce najnowszego wynalazku rzuciły na niemieckie okręty z góry pociski niesłychanej siły. Najpiękniejsze nasze pancerniki wyleciały w powietrze. Tylko trzem mniejszym krążownikom udało się ocalić“.

Ha! zawołał ze zgrozą, nie miałemże słuszności, gdym przestrzegał przed polskiem niebezpieczeństwem? Ale nie chciano wierzyć. Niech w was jasne pioruny trzasną, v e r f l u c h t e P o l a k e n!

To powiedziawszy pięścią zaciśniętą machnął koło siebie, jakby wszystkim Polakom chciał głowy potrzaskać.

---

[2]) Nie pleść po polsku!

Ale w tymże momencie porwał się na siedzenie i chwyta się za dłoń krwawiącą. A żona krzyknęła: Herr Je, mein schönes Geburtstagsgeschenk ist kaput[3])!

Co się stało?

Otóż pani Frycowa przyniosła mężulkowi kawę do łóżka i to w pięknym serwisie, który jej w dzień urodzin podarowała przyjaciółka. On wziąwszy ją za roznosicielkę gazet i tacę za gazetę, wyczytał w niej ów złowrogi telegram. Gniewem uniesiony machnął pięścią i nie powalił żadnego Polaka, ale potłukł na drobne kawałki piękny porcelanowy serwis swej żony. Spojrzał smutnie na miejsce bitwy, ale równocześnie uśmiechnął się z zadowoleniem. Na podłodze zarysowały się wyraźnie kolory pruskie. Dwiema strugami płynęły ku drzwiom c z a r n a kawa i b i a ł a śmietanka!

---

[3]) Aj! Mój prezent imieninowy przepadł.

Kącik humorystyczny.

Posłuchała rady.

Zasięgała baba rady:
„Jak uniknąć z kumą zwady?
Kuma strasznie niespokojna,
No, i z tego ciągła wojna!
— „Jeśli ci tak spokój błogi,
Z e d ź ż e babo, kumie z d r o g i“
Taką radę babie dałem.
No i wiecie co ujrzałem?
Wkrótce baba b i t ą drogą
Szła do miasta, — dzień szaruga!
A tam ś c i e ż k ą, obok drogi,
Brnąc po błocie, idzie druga,
T. j. kuma. — Wnet ją baba
Uwidziała, chociaż z dali,
Czemprędzej więc s c h o d z i z d r o g i
I do kumy ścieżką wali!

Cepy.

CENY ZBOŻA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 14 grudnia (wtorek) 1909).

Giełda nasza nie wykazuje od dłuższego czasu żadnych znaczniejszych transakcyi. — Ogólny brak zainteresowania, jaki panuje w Wiedniu i Peszcie odbija się na naszym targu w zupełnej prawie stagnacyi, — tak że notowania dzisiejsze uważać należy za nominalne. Notowania zeszłego tygodnia nie uległy żadnej zmianie.

Sprzedawano: pszenicę białą od 00·00—00·00 kor., pszenicę czerwoną od 13·40—13·80 kor., pszenicę rosyjską od 13·50—13·70 kor., żyto dw. 10·10—10·50 kor., żyto targowe od 9·50—9·80 koron, jęczmień 7·80 do 8·00, owies na paszę 8·10 do 8·15 kor., nowy węgierski 00·00 do 00·00 kor., kukurudzę starą 9·10 do 9·40 koron, nową 0·00—0·00 koron, kukurudzę Cinquantino 10·10—10·30 kor., groch zwyczajny 12·00 do 13·00 kor., groch Victoria 13·00—16·00, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 00·00—00·00 kor., bobik 0·00—00·00 kor., rzepak 14·60—16·00 kor., otręby pszenne 5·80—5·90, otręby żytnie 5·90—6·10, koniczyna nasienna czerwona 00·00—00·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Komunikat Biura handlow.

dla eksportu bydła

c. k. Tow. Rolniczego w Krakowie, ul. św. Jana 2.

Ceny w koronach za 100 kg żywej wagi.

Wiedeń, dnia 13 grudnia 1909 targ na bydło; 14 „ „ „ „ świnie

Rodzaj	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	2916	82—96	67—80	60—66
Buhaje	561	72—80	64—70	—
Krowy	623	70—80	50—66	—
Bydło z paszy	463	42—68	—	—
Bydło ost. sorty	1027	32—48	—	—
Jałownik	—	—	—	—
Cielęta bite	4421	114—140	88—112	—
Świnie węgier.	13946	137—140	126—136	106—124
„ galic. I.		114—118	—	—
„ galic. II.		—	96—108	—
Knury czyszczone i maciory tuczne			—	90—106

U w a g i: Ogólny spęd bydła o 385 sztuk mniejszy. Ceny wołów od 1—2 K. wyższe, buhai zeszłotygodniowe. krów i bydła lepszej sorty od 1—2 K wyższe, bydła ostatniej sorty zeszłotygodniowe.

Świń młodych o 700 sztuk mniej, ceny od 2—4 K. wyższe — tłustych o 700 sztuk mniej, ceny od 2—4 K. wyższe.

Ceny w koronach za 100 kg. żywej wagi.

Kraków, dnia 10 grudnia 1909 targ duży; 14 „ „ „ mały

Rodzaj	Data	Ilość	
Woły	10/12	170	50—74
	14/12	144	51—58 za sztukę
Buhaje	10/12	71	56—60
	14/12	28	173—210 za sztukę
Krowy	10/12	69	60—64 za sztukę
	14/12	23	85—150 za sztukę
Jałownik	10/12	101	45—200
	14/12	51	48—140 za sztukę
Cielęta	10/12	280	20—70 za sztukę
	14/12	313	20—80 za sztukę
Owce	10/12	11	14 za sztukę
	14/12	1	—
Świnie żywe	10/12	428	—
	14/12	272	—
„ bite	10/12	—	130—155
	14/12	—	130—150

U w a g i do targu z dnia 10 grudnia 1909 r.:

Spęd bydła mniejszy niż w poprzednim tygodniu, ceny jednak zeszłotygodniowe.

Spęd świń większy, ceny na bitą wagę od 1 do 2 K. wyższe.

U w a g i do targu z dnia 14 grudnia 1909 r.:

Spęd bydła i świń mniejszy niż w poprzednim tygodniu, sprzedaż przeważnie na oko, ceny tak bydła jak świń zeszłotygodniowe.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.